



RECENZJE I OMÓWIENIA

Świat wymyślony

Zygmunt Kowalczyk, *Na klifie*, Zielona Góra 2005, 62 s.

Życie jest złudą, teatrem, iluzją. Nic nie dzieje się naprawdę. Świat nie istnieje, a jego okruchy odbijają się tylko w lustrach snów i marzeń. Taka świadomość zapisana została w kolejnym, szóstym już tomiku poetyckim Zygmunta Kowalczyka.

„zrywam kurtynę z nieba
a jej nie ma

szukam kolorów
a to tylko złudzenie”

(*Może*)

– pisze autor *Na klifie*. Jego pragnieniem jest świat wymyślony na nowo, namalowany przez artystę słowa. Jeśli Panu Bogu nie udało się stworzyć arkadii – rzeczywistości, która dawałaby schronienie i była w stanie zażegnać niepokój, kompetencje Stwórcy (to stary literacki topos) przejmują poety:

„wymyślę nowy świat
niech się stanie naiwny
jak pierwszy obrazek dziecka”.

(*Wymyślony*)

Przywilej takiej naiwności nie jest jednak dany bohaterowi wierszy. Poeta wie dobrze, że tylko na rysunku dziecka tęcza może być bezpiecznym dachem. Nie da się ani stworzyć, ani posklejać rozbitego świata.

Co pozostaje? Najpierw – próby wracania do początku: drażnienie dramatu narodzin, wspomnianie „niebieskiego fartuszka matki” (*Moja matka*) i „chłopca zrywającego dmuchawce” (*Z okna*). Innymi słowy: rekonstrukcja własnej, prywatnej historii. W ten sposób rozrachunek z przeszłością staje się punktem wyjścia dla samookreślenia. I można podjąć nową drogę:

„czułem że nadchodzi czas
by stanąć na klifie
pozostawiając wszystko”

(*Na klifie*)

Jest również inne, sprawdzone przez klasycystów i ich pogrobowców, antidotum, po które sięga autor *Na klifie*: zakorzenie w kulturze. Wiersze zebrane w nowym tomiku, podobnie zresztą jak wcześniejsze utwory Kowalczyka, czerpią z klasycystycznych klimatów: rejestrują wędrówki/ucieczki w nierzeczywiste przestrzenie i w teksty kultury będące ekwiwalentem

arkadyjskiej pełni. Oto spotkanie z ikoną (*Widok na ikonę*), oto ruiny w Chersonesie (*W Chersonesie*), eksponaty Pergamon-Museum (*W Pergamon-Museum*). Poeta szuka zadomowienia w „starych księgach” i „klasztorach sztuki”, kolekcjonuje chwile i pejzaże, liczy ziarna przesypującego się piasku, rozmawia z aniołami, wpatruje w bezkres gwiazd. A przy tym łowi słowa-poetyzmy. Na próżno:

„ile światów pomieścić zdołam
nie wiem
póki uwiera jeden”

(*Ile*)

Świat boli i uwiera. Nic nie ukoi melancholii, a pamięć nawiedzają znikliwe obrazy. Byłoby inaczej, „gdyby istniał choć fragment pewności / w wymyślającym się dramacie” (*Niepewność*). Niestety, jedynym pewnikiem zdaje się być świadomość utraty.

Świat nowych wierszy Kowalczyka jest światem, z którego bogowie odeszli, którego fundamenty rozmyte zostały wodami niepewności. „Błądzimy pośród istnień / nie kleją nam się kolory wiary” (*Niepewność*), „może nie jesteśmy tu naprawdę” / nasze wołanie głoś gasnącej gwiazdy” (*Iluzja*). Zużyły się dekoracje świata, skończyła się uczta. I nie wiadomo, czy kielich znów się napelni. „Nic nie jest pewne” (*Tamta wina*).

Małgorzata Mikołajczak

Sobkowiak nad Sekwaną

Czesław Sobkowiak, *Podziemne słońca. Soleils souterrains*, Zielona Góra 2004, 52 s.

Dwujęzyczny tomik poezji, pierwszy w swoim dorobku, wydała niedawno zielonogórska oficyna wydawnicza Pro Libris, która działa przy Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej. Zawiera on wiersze Czesława Sobkowiaka w oryginale i po francusku. Wyboru dokonał i przełożył Krzysztof Jeżewski.

Sobkowiaka miłośnikom poezji nie trzeba przedstawiać. Ten pięćdziesięcioletni dziś poeta od lat posiada ugruntowaną pozycję. Niektórzy wiążą go z pokoleniem Nowej Fali, które demaskowało fałsz i sztuczność oficjalnego języka w czasach realnego socjalizmu, ukazywało autentyczność ówczesnego życia. Sobkowiak od swojego książkowego debiutu w 1970 r. dobrze przyjętego tomiku „W białej koszuli” regularnie publikuje w wydawnictwach i czasopismach ogólnopolskich i lokalnych. Niekiedy inspiruje się nie tylko polską awangardą spod znaku Peipera, ale także nowoczesną poezją francuską, zwłaszcza Rimbaudem i Jakobem. Rozmowa z Rimbaudem, nagrodzona gdańską „Czerwoną różą” to z pewnością jeden z jego najlepszych wierszy. Zafascynowany polską i francuską awangardą Sobkowiak zawsze usiłuje być sobą.

Z jego wielowątkowego, obfitego dorobku Krzysztof Jeżewski wybrał i przełożył szesnaście wierszy. Jeden z nich „Czyli nagość”, napisany na kanwie obrazów świetnego, nieżyjącego już gorzowskiego malarza – Andrzeja Gordona, to niemal poemat. Ten wybór został dokonany z perspektywy francuskiego czytelnika. W „Soleils souterrains” znalazły się przede wszystkim wiersze o problemach uniwersalnych, odwołujące się do kultury śródziemnomorskiej, ukazujące nasze życie w wielu wymiarach, pomiędzy dobrem a złem. W wyborze znalazła się również „Rozmowa z Rimbaudem”.

Tłumacz tych wierszy na francuski, Krzysztof Jeżewski, urodzony w Warszawie na kilka tygodni przed wybuchem II wojny światowej, już jako student romanistyki na UW przekładał wybitnych poetów francuskich i latynoamerykańskich. W klimacie „wydarzeń marcowych 1968 r.” wyjechał do Paryża, gdzie na Sorbonie, jakby na przekór wszystkiemu i wszystkim ukończył polonistykę. Jego zasługi dla literatury polskiej we Francji są u nas ciągle mało znane i doceniane. Jeżewski na język

francuski przełożył wiele utworów Schulza, Gombrowicza, Miłosza, Szymborskiej, Baczyńskiego, Andrzeja Kuśniewicza. Wydał kilka antologii poezji polskiej. Do tego imponującego dorobku translatorskiego dopisał ostatnio właśnie tłumaczenia wierszy Sobkowiaka. Jeżewski jest równocześnie wybitnym znawcą muzyki. Francuskim melomanom odkrywa i przybliża dzieła Moniuszki, Karłowicza, Szymanowskiego. Współpracuje jako tłumacz i krytyk z pismami francuskimi i polonijnymi. Bez niego nasza literacka i artystyczna obecność nad Sekwaną byłaby nieporównanie mniejsza i uboższa. Jeżewski jest także interesującym poetą, autorem kilku zbiorów poezji, tłumaczonym na francuski, angielski, niemiecki i hebrajski. To dzisiaj jeden z wybitniejszych polskich twórców działających poza krajem.

Tym, który Jeżewskiemu zwrócił uwagę na wiersze Sobkowiaka, jest Kazimierz Skorupski, zielonogórzanin, przed laty związany zawodowo z Teatrem Lubuskim, współzałożyciel i działacz tzw. pierwszej Solidarności, który w stanie wojennym wyemigrował do Francji. W Paryżu wykłada teatrologię, krzewi kulturę polską, propaguje twórczość Norwida i innych poetów, działa w stowarzyszeniu polsko-francuskim. To dzięki jego staraniom i zabiegom organizatorskim w Paryżu odbyła się promocja tomiku Sobkowiaka. Poeta i tłumacz spotkali się z miłośnikami poezji w jednej z księgarni, szkół średnich i w gronie Polaków. Szczególnie interesujące było spotkanie z młodzieżą, nie tylko z rodowitymi Francuzami, ale także z pochodzenia Arabami. Poetę z Zielonej Góry i jego francuskiego tłumacza wierszy wszędzie przyjmowano ciepło i życzliwie. Odnotował to Yannick Le Dorze w sprawozdaniu na łamach „Les Nouvelles Paris”. Tam też zamieszczono wspólne zdjęcie Sobkowiaka i Jeżewskiego. Była to również promocja poezji polskiej i Zielonej Góry.

Należałoby życzyć, aby wydawnictwo Pro Libris wspierane finansowo przez Prezydenta Miasta Zielona Góra i Urząd Marszałkowski Województwa Lubuskiego na tym jednym dwujęzycznym tomiku nie poprzestało. Aby stało się to edytorską tradycją.

Janusz Koniusz

Uporządkowany zamęt

Witold Bobiński, Anna Janus-Sitarz, Bogusław Kołcz, *Barwy epok. Kultura i literatura*, Warszawa 2002.

Jadwiga Kowalikowa, Urszula Żydek-Bednarczuk, *Barwy epok. Nauka o języku*, Warszawa 2002.

Obyś cudze dzieci uczył.

(Motto złośliwe)

W roku 2002 ukazało się w wydawnictwie WSiP pierwsze wydanie dwuczęściowych podręczników z serii *Barwy epok* przeznaczonych do nauczania języka polskiego (w zakresie podstawowym i rozszerzonym) na poziomie klasy I liceum ogólnokształcącego, liceum profilowanego i technikum. Wydawać by się mogło, że skoro nad opracowaniem serii czuwało aż pięć osób, to koncepcje układu treści i strategię przekazywania wiedzy powinny być do końca przemyślane. Niezupełnie jednak tak się stało. Nie można postawić zarzutu, że podręcznik w zakresie treści nie jest zgodny z podstawą programową (choć można dyskutować nad doborem utworów – ale to rzecz gustu), ani twierdzić, że pojęcia kluczowe do zrozumienia przedmiotu nie są należycie wyeksponowane lub, że informacje proste, faktograficzne nie sąsiadują z wiadomościami o procesach rozwojowych. Co więcej, w zadaniach dla ucznia dostrzega się obecność nawiązań do jego wiedzy, doświadczeń, wyobrażeń, pojęć wyniesionych z poprzednich etapów nauki. Zróżnicowane są informacje ważne i peryferyjne (wytyłuszczenia, kolorowe tło, tytuły akapitów, ramki); funkcjonalny jest materiał ilustracyjny – czytelna ikonografia koresponduje z tekstem, podane są wskazówki bibliograficzne. I rzecz fundamentalna – w kolejnych rozdziałach zastosowano powtarzalność układu informacji. Z pozoru wszystko jest jak należy. Na tej podstawie można

zaryzykować twierdzenie, że podręcznik spełnia w znacznej mierze poddawane ocenie kryteria merytoryczne, dydaktyczne i edytorskie. I choć, z drugiej strony, brak mu tak elementarnych składników, jak dobry wstęp informujący o układzie treści i sposobach korzystania z podręcznika (*Nauka o języku* nie posiada go w ogóle), alfabetyczny indeks autorów i dzieł, indeks rzeczowy, ciekawostki – to są drobiazgi. Nie o nie chodzi. Poważne wątpliwości dotyczące poprawności (czytaj: przydatności) tego podręcznika pojawiają się wówczas, gdy spojrzymy nań oczami ucznia. Z tej perspektywy *Barwy epok* prezentują się w zgoła innym świetle.

Nie będzie dużej przesady w twierdzeniu, że część podręcznika przeznaczona do kształcenia kulturowo-literackiego jest pozycją jedyną w swoim rodzaju. Stanowi bowiem (wyjąwszy dzieła z kanonu lektur) niemal w całości (!) kompilację tekstów autorytetów z dziedziny polonistyki, historii, historii kultury, filozofii, które tu wykorzystano nie tyle jako ilustrację pewnych zjawisk czy poglądów, lecz raczej jako rodzaj polifonicznego wykładu o przedmiocie. We wstępie do podręcznika autorzy piszą: *Nie chcemy w tej książce podsuwać żadnych gotowych odpowiedzi, odbierających Wam prawo do myślenia na własny rachunek. Dlatego też zrezygnowaliśmy z wykładu historycznoliterackiego, narzucającego ustalone sądy i opinie. Zamiast tego proponujemy lekturę różnorodnych tekstów (czasem przedstawiających sprzeczne punkty widzenia), które pozwolą Wam samodzielnie docierać do korzeni naszej kultury, szukać w nich prawd nam bliskich, wyciągać wnioski i wartościować.* Bardzo pięknie, powstaje jednak pytanie jak dalece uczeń klasy I liceum zdolny i przygotowany jest do krytycznego odbioru i wartościowania tekstów N. Daviesa, Z. Libery, Cz. Hernasa, J. Ziomka, W. Tatariewiczza, J. Błońskiego, M. Klimowicza, S. Stabryły i innych, których nie sposób tu wymienić. Autorzy podręcznika zdają się nie pamiętać, że jego odbiorcą jest człowiek bardzo młody, z niewielkim bagażem wiedzy, którego nagle stawia się w pozycji recenzenta, wprawdzie tylko fragmentów, ale naukowych rozpraw. Ba, zmusza się go do selekcji poglądów wyrażanych przez autorytety i samodzielnego decydowania o słuszności takich czy innych stanowisk. W założeniu autorów ma to wyzwać samodzielne myślenie, kształcić postawy krytyczne wobec źródeł i opracowań, skłaniać do własnych refleksji. Tymczasem nie bierze się pod uwagę, że recepcja wielu tekstów, z którymi uczeń zetknie się w podręczniku, będzie dla niego kłopotliwa ze względu na stopień trudności. Ponadto właśnie ich polifoniczność sprawia, że znaczna część toku dydaktycznego, siłą rzeczy, podporządkowana zostanie nie tyle istocie problemu, co jego kontekstom. A to zakrawa już na jakieś nieporozumienie, w efekcie którego tworzy się nadbudowę bez bazy, jaką w tym przypadku musi być rzetelna wiedza. Bez niej bowiem rezultatem takich eksperymentów będzie po prostu poznać zamęt, jakkolwiek żaden rozsądny nauczyciel nie odbiera swoim uczniom prawa do samodzielnego myślenia. Autorzy podręcznika poszli jednak jeszcze dalej. Otóż wyobrazili sobie nastolatka, który będzie zdolny poddawać krytycznej ocenie teksty pisane na poziomie akademickim. Trudno więc nie czynić zarzutu z naiwnego przekonania autorów o komunikatywności podręcznika, bo nie spełnia on podstawowego kryterium dydaktycznego, jakim jest przystępność, jasność, spójność i precyzja narracji. To prawda, nie wszystkie teksty cytowane w podręczniku są trudne, jednak jest ich wystarczająco dużo (także tych zawierających sprzeczne opinie), by po prostu zamieszać w głowach. Może choć jeden przykład – strona 110, pod hasłem *Anonimowość* (w odniesieniu do sztuki średniowiecznej), czytamy: *Egocentryzm, pogoń za sławą i próżność nowożytnych artystów były swego czasu wytykane, przeciwstawiane poświęceniu i skromności – cnotom średniowiecznego artysty, nie szukającego innej nagrody niż niebiańskiej i wolnemu od pragnienia sławy. Artysty pokornego i szczęśliwego w swej anonimowości, pragnącego tylko uczestnictwa w tym wielkim wspólnym dziele gloryfikacji wiary.* (Człowiek średniowiecza, red. J. Le Goff, przekład M. Radożycka-Paoletti, Warszawa 2000). A dalej: *Rozprawić się trzeba w końcu z legendą o anonimowości budowniczych katedr. Dziesiątki ich imion przetrwały do naszych czasów nie tylko dzięki zapisom kronikarskim czy rejestrom rachuby. Budowniczo wie średniowieczni, jeśli tak wolno się wyrazić, z radością i dumą podpisywali swoje dzieła. [...]* (Zbigniew Herbert, *Barbarzyńca w ogrodzie*, Warszawa 2000). Jakie wnioski wyciągnie uczeń z takich informacji? Cóż, z pewnością będzie to zależęć od nauczyciela, który w obliczu takich niespodzianek zapłaci swoją cenę za nieprzemysłany wybór podręcznika.

Warto także zwrócić uwagę na inne ciekawe zjawisko: w jakim stosunku pozostają wobec siebie, stanowiące przecież całość, *Barwy epok* (*Kultura i literatura*) i *Barwy epok* (*Nauka o języku*).

Już na pierwszy rzut oka dostrzec można brak korespondencji między stylistyką obu części serii. Może dlatego, że autorki *Nauki o języku* nie miały ambicji podpisania własnym nazwiskiem słów wypowiedzianych przez innych. Nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu, że stopnie trudności podręcznikowej narracji w obu częściach tak dalece się różnią, że trudno mówić o jakiegokolwiek kompatybilności. O ile w części historycznoliterackiej poprzeczka jest zawieszona wysoko nad głowami uczniów, o tyle w części językowej jest po prostu wkopana w ziemię. Niektóre wykłady aż chciałoby się rozpocząć od *dawno, dawno temu*. Być może warto zaryzykować nawet karkołomną tezę, że oto po raz pierwszy, przy pomocy podręcznika, uda się przełamać tradycyjny opór uczniów do zajmowania się nauką o języku.

I na koniec, jeszcze informacja. Refleksje te pisane są z punktu widzenia szeregowego nauczyciela, nie zaś uniwersyteckiego dydaktyka. Paradoxem jest fakt, że weźmie on do ręki podręcznik WSiP-u z... przyjemnością, wypływającą z możliwości ponownego obcowania (na co normalnie nie ma czasu) z tekstami, z którymi stykał się w czasie studiów polonistycznych lub, które mu te teksty przypominają. Nauczyciel przeglądając ten podręcznik będzie czuł się jak w domu, wiedząc, w przeciwieństwie do ucznia, co i kogo czyta. O przychylnym dla *Barw epok* wyborze zadecyduje w tym wypadku, być może niezamierzony przez autorów, chwyt psychologiczny. Pamiętając jednak o tym, że w szkole średniej po raz pierwszy wyrabiamy w uczniu krytyczny stosunek do podręcznika i wskazujemy jego mankamenty – wybierajmy mądrze. Nasza decyzja może bowiem, tak jak w przypadku *Barw epok*, ściągnąć na ucznia niebezpieczeństwo uwikłania go w fakultatywność treści, popartą w dodatku wybraną opinią autorytetu cytowanego w podręczniku. A o relatywizmie poznawczym na tym poziomie edukacji można by dyskutować.

Danuta Mizińska

Mityzacja świata w utworach Adama Nowaka – lidera zespołu Raz, Dwa, Trzy

Słuchając utworów zespołu Raz, Dwa, Trzy trudno oprzeć się wrażeniu, że tkwi w nich osobliwa moc posiadająca zdolność czynienia ludzi silniejszymi, lepszymi, obdarzająca nadzieją w chwilach zwątpienia. Te piosenki, choć często budzą niepokój i zmuszają do refleksji, są nośnikami pozytywnej energii. Niewątpliwie jest to zasługą lidera zespołu, Adama Nowaka, którego traktujące o różnych aspektach ludzkiej egzystencji teksty piosenek urastają do rangi poezji. Na czym może polegać ich tajemnicza siła?

Szczególną cechą poezji Nowaka jest jej metafizyczny charakter. Przestrzeń nabiera w niej cech niezwykłości, zagadkowości i magii, co daje jej niezwykłą moc oddziaływania na odbiorcę. Autor uzyskuje ten efekt poprzez stosowanie w swych utworach różnego rodzaju zabiegów mityzacyjnych, które w literaturze pełnią istotną funkcję: nadają światu cech życzliwych, sugerują, iż tworzą swój własny, odrębny „mikroświat”, można się odnaleźć w niepokojąco obcej rzeczywistości.

U podstaw tych zabiegów znajduje się pojęcie mitu, który, jak twierdzi R. Barthes¹, jest przekształceniem sensu w formę. Według R. Bultmana², mit stanowi „wszelki obraz rzeczywistości boskiej i nadziemnej, wyrażony za pomocą kategorii ludzkich i ziemskich”. E. Fromm³ z kolei zwraca uwagę na posługujący się metaforą symboliczny język mitu, w którym „świat zewnętrzny stanowi symbol świata, dusz i umysłów”, i który umożliwia nadanie sensu ludzkiej egzystencji oraz doświadczenie nieskończoności. W micie bowiem, zdaniem filozofa, zawarte jest jednocześnie to, co nieskończone, wieczne oraz to, co teraźniejsze; to co historyczne i to, co ahistoryczne.

1 Słownik pojęć i tekstów kultury, pod red. T. Dobrzyńskiej i in. Warszawa 2002, s. 174. Za: R. Barthes.

2 A. Podsiad, Z. Więckowski, *Mały słownik terminów i pojęć filozoficznych*. Warszawa 1983, s. 219. Cyt. za: R. Bultman

3 Słownik pojęć i tekstów kultury, dz. cyt., m. cyt.

Omawiając mityzację świata przedstawionego w poezji Adama Nowaka, oprę się na teoretycznych rozważaniach dotyczących mitu, świadomości mitycznej oraz myślenia mitycznego zawartych w dwóch pracach: Józefa Niżnika „Symbole a adaptacja kulturowa”⁴ oraz Dariusza Wadowskiego „Mit jako zwornik czasu i przestrzeni”⁵.

Zasadniczą cechą świadomości mitycznej⁶ jest fakt, iż pojmuje ona świat wprost i wyłącznie za pomocą zmysłów. Jako realne i prawdziwe przyjmuje tylko to, co przynoszą bezpośrednie wrażenia i nie odnosi się do niczego poza nimi. Odkrywczą potęgę wrażeń odnajdujemy w utworach Nowaka, który wyłączone za ich pomocą poznaje świat. Ponieważ wszelkie jego spostrzeżenia nasycone są emocjami, również próba zrozumienia świata staje się nie aktem intelektualnym, lecz emocjonalnym. Rzeczywistość jest więc przez niego pojmowana nie tylko jako świat zewnętrzny, ale także cała gama wypełniających go odczuć, doznań i emocji. Cokolwiek zatem poeta dostrzeża, otacza specjalną atmosferą - radości, nieszczęścia, lęku, przygnębienia czy radości. Ważne, a więc warte opisanego, staje się dla niego tylko to, co oddziałuje na sferę uczuciową, co wyzwała w nim - twórcy i bohaterze wiersza - określone emocje. Bowiem „rozumieć” rzeczywistość w kategoriach mitycznych, znaczy przede wszystkim „odczuwać” ją. W poezji Nowaka owo „odczuwanie” świata pełni funkcję nadrzędną. Podobnie zresztą jak wiara w jego harmonię, która powoduje, że w wierszach nie pojawia się pytanie „dlaczego?”, ponieważ jedyną możliwą odpowiedzią na nie jest - „bo taki jest porządek świata”, lub - używając słów Nowaka - „jest tak, jak być miało” (I TYLKO TO WIEM, *Trudno nie wierzyć w nic*). Nie oznacza to jednak biernego podporządkowania kolejom losu i zrzucania wszystkiego na barki przeznaczenia. Tak samo jak w ów ład, wierzy Nowak w to, że to człowiek posiada znaczący wpływ na swoje życie i odpowiada za to jak ono przebiega. Zdarzenia przypadkowe, nieprzewidziane odgrywają rolę istotną, jednak tylko od człowieka zależne jest, jak te zdarzenia wpłyną na jego los.

Charakterystyczną cechą analizowanej twórczości jest obecność w niej pierwiastków *sacrum*. Dzieje się tak, ponieważ w świadomości mitycznej uczucia, jakie u człowieka stwarza otaczający świat, są istotą podziału przestrzeni mitycznej na to co niezwykłe, święte - *sacrum*, i to co zwykle, nieświęcone - *profanum*. Poszczególne elementy rzeczywistości są więc zagrażające lub życzliwe, radosne lub napawające lękiem. W przestrzeni poetyckiej Nowaka istnienie zarówno *sacrum*, jak i *profanum* jest widoczne chociażby w utworze pt. W WIELKIM MIEŚCIE (*Suffit*), w którym możemy spotkać tak idących po ulicy ludzi, jak i anioły, gwiazdorów, czy policjantów. Wszyscy są równoprawnymi bohaterami przedstawionej codzienności.

Obecność *sacrum* w poezji powoduje, iż świat staje się bardziej przyjazny człowiekowi. W chwilach smutku, zwątpienia, lęku czy samotności pojawia się zawsze jakiś „palec boży”, który go chroni i otacza opieką, np. w postaci Anioła Stróża:

oto widać idą ludzie
przy wystawach i o cudzie
myślą i nareszcie
nad głowami anioł leci
od tej pory komuś w życiu
będzie znacznie lepiej

(W WIELKIM MIEŚCIE, *Cztery*)

czy spadającej z nieba gwiazdy:
jeszcze tyle gwiazd
spadnie w nasze dłonie
w niespokojny czas
każda z nich zapłonie

(NIE BĘDZIEMY, *Suffit*)

4 J. Niżnik, *Symbole a adaptacja kulturowa*. Warszawa 1985, s. 91-103.

5 D. Wadowski, *Mit jako zwornik czasu i przestrzeni*, w: *Tożsamość polska i otwartość na inne społeczeństwa* pod red. L. Dyczewskiego. Lublin 1996, s. 61-71.

6 J. Niżnik za E. Cassirerem stosuje zamiennie pojęcie mit, świadomość mityczna i myślenie mityczne, zaznaczając jednocześnie, że mit jest formą przeżywania rzeczywistości i wyraża świadomość mityczną w działaniu - zob. J. Niżnik, dz. cyt., m. cyt.

Mityczny charakter omawianych wierszy polega również na tym, że nie ma w nich wyrazistego rozróżnienia pomiędzy jawą a snem. Wszystko dzieje się na ich pograniczu: po ulicach Wielkiego Miasta spacerują aniołowie, dzieci rozmawiają z gwiazdoram, a po Mlecznej Drodze toczy się wóz. Nawet słowa, którymi „mówione” są wiersze sprawiają czasem wrażenie mamrotanych przez sen. Nie ma tu także wyraźnego rozgraniczenia pomiędzy życiem i śmiercią. Śmierć jest dla Nowaka zjawiskiem naturalnym, nietragicznym i niestrasnym. Stanowi etap życia i jest jedynie momentem zmiany miejsca pobytu duszy:

jak znajdę się w niebie
napiszę do ciebie
jestem niewidzialny
(...)
są światy i cuda
od cudów się fruwa
jestem niewidzialny
i frunie się lekko
i wierzy daleko
jestem niewidzialny

(NIE TYLKO DLA CIEBIE, *Niecud*)

Atrybutem poezji Nowaka jest również brak w niej faktów obojętnych. W przestrzeniach mitycznych bowiem nie ma zjawisk znaczeniowo pustych. Wszystko ma charakter pozytywny lub negatywny, jest dobre lub złe, ponieważ mit wyposaża każdą cząstkę rzeczywistości w określone znaczenie, znosząc podział na przedmioty i istoty żywe⁷.

Zabiegi mityzacyjne w literaturze stanowią próbę odnalezienia, czy też zdefiniowania własnej tożsamości. Pomagają w poszukiwaniach odpowiedzi na pytanie „kim jestem?”, które to poszukiwania, jeśli się ich podjąć, zawsze dotyczą problematyki czasu i przestrzeni, rządzących się w miarę swoistymi prawami.

Czas w poezji Nowaka jest więc czasem operującym na wielu poziomach jednocześnie, poszczególnych zdarzeń nie można ustawić w szeregu chronologicznym, wskazać ich przyczyny i konsekwencje. Przeszłość, przyszłość i teraźniejszość istnieją obok siebie, przeplatają się wzajemnie, nie przemijają, lecz wciąż powracają i aktualizują się:

w tym a nie w innym miejscu
w tej chwili albo za chwilę
u zbiegu ulic czy w przejściu
gdzie jestem albo już byłem

(JESTEM TYLKO PRZECHODNIEM, *Trudno nie wierzyć w nic*)

Cykliczny charakter czasu mitycznego, jest oparty na powtarzającej się serii przeciwieństw; dzień przeplata się w nim z nocą:

światło z kolejnym świtem
ciągle nazywam życiem
które spokojnie toczy
swą nieuchronność nocy

(POD NIEBEM, *Cztery*)

okresy rozwoju z okresami upadku:
lecimy w dół
czasem w górę wtedy wszędzie jest za daleko

(SUFIT, *Sufit*)

7 P. Czapliński, P. Śliwiński, dz. cyt., m. cyt.

świat ciemności ze światem jasności:
spójrz – widzę
a w ciemności trwam
słyszę
a stworzyłeś ciszę

(SPÓJRZ – WIDZĘ, *Niecud*)

Dualizm charakterystyczny dla świadomości mitycznej widoczny jest także w utworze RATUJ (*Niecud*):

oto zdarzenie
a może nie
wszystko jest dobrze
i wszystko jest źle
(...)
oto godzina
czarna i zła
wszystko jest nie tak
i wszystko jest tak.

Ważną cechą mitycznego postrzegania czasu jest jego sakralizacja. Każdy czas może stać się czasem świętym, w każdym momencie trwanie może przekształcić się w nieskończoność, a wydarzenia odbywające się w czasie świętym zawsze posiadają tę samą moc i świeżość. Nowak ujmuje to dość dosadnie mówiąc:

każda chwila jest święta
każda chwila jest dziś

(TYLE BĘDZIE, *Sufit*)

Przestrzeń mityczna, podobnie jak czas, jest niejednorodna, każdy jej aspekt posiada symboliczny sens. Warunkuje ona działalność człowieka przez nasycenie jej treściami emocjonalnymi, religijnymi i aksjologicznymi. W poezji Nowaka każdy element przestrzeni jest określony, może być dobry lub zły, święty lub świecki, napawający lękiem lub kojący. Obszar święty, a więc „ważny”, „mocny”, to właśnie ów „mikroświat”, który stanowi jedyne miejsce prawdziwe, bo całe jego otoczenie to bezkształtny, rozbity świat. Obecność obszaru świętego pomaga uporządkować rzeczywistość, przeciwstawiając bezładnym fragmentom przestrzeni świat „swój”, co daje możliwość przezwyciężenia niepokojącej anonimowości miejsca i „ujarzmienia” go.

Człowiek – zdaniem S. Cieniawy⁸ – mimowolnie uświęca wszystko, ponieważ wszystkiemu nadaje wartość. Bez twórczości mitycznej, nie mógłby ani wytyczyć, ani tym bardziej zrealizować żadnego celu. Nie potrafiłby cieszyć się życiem i światem, nie posiadałby indywidualnych wizji, wiary w siebie i ludzi, nadziei. Właśnie ta „wrodzona” zdolność twórczości mitycznej podtrzymuje życie psychiczne i duchowe człowieka, nawet wtedy, gdy jest on sfrustrowany i bliski rozpacz. Dlatego między innymi twórczość Adama Nowaka wywiera tak pozytywny wpływ na odbiorcę. Pozwala mu wierzyć, że nie jest sam, że może jeszcze odnaleźć siłę, by zmierzyć się z przeciwnościami losu, bo ktoś lub coś nad nim czuwa. Niesie nadzieję, pomaga w chwilach zwątpienia, a przede wszystkim, wprowadza do świata spokojnego, uporządkowanego i kojącego, czyniąc z każdego odbiorcy mieszkańca tegoż świata, wtajemniczonego uczestnika magii.

8 S. Cieniawa, *Mit raju, raj mitu*. Poznań, s. 122.

Cytowane utwory pochodzą z płyt: *To ja* (1993), *Cztery* (1994), *Sufit* (1996), *Niecud* (1998) wydanych przez POMATOM EMI oraz z płyty *Trudno nie wierzyć w nic* (2003) wydanej przez POLSKIE RADIO S.A., a także z tomu poezji pt. *Z rozmów* (Filmar, Warszawa 2000).

Wywiad-rzeka niezbyt osobisty

Stanisław Turowski, *Bez retuszu. Wywiad rzeka*, Gubin 2005, 160 s.

Wiem, czym powinien być wywiad-rzeka, w tej kwestii mam ważne dla siebie oczekiwania. Przy pomocy tej formy, głównie w ten sposób (oczywiście zawsze istnieje możliwość napisania powieści biograficznej lub po prostu dobrej biografii) istnieje szansa szerokiego i dogłębnego przedstawienia wizerunku, w zasadzie żywota, człowieka – jego losu, myśli, poglądów i dokonań. Tu ważne jest, że on sam w swojej nieprzeciętności jest dopuszczony do głosu, a więc można dysponować autentycznym przekazem. Dobry rozmówca stara się jak najwięcej wyciągać, nie pozwalając na nazbyt daleko idącą sugestywność. W każdym razie bohater musi być celem, całą jego podmiotowość, w której zwykle coś ważnego się odzwierciedla dla czasu, w którym żyje. Toteż kiedy dotarła do moich rąk książka Stanisława Turowskiego z Gubina pt. „Bez retuszu”, opatrzona podtytułem „wywiad rzeka”, te oczekiwania się we mnie obudziły. A wraz z nimi ciekawość człowieka, którego rzecz (książka) dotyczy. Tenże winien nosić w sobie określoną własną duchową rzeczywistość, uczucia, doświadczenia itp. Ciekawość jakiejś wyższej racji, dla której te wszystkie indywidualne przymioty i prezentowane sądy w całym splocie doraźnych doświadczeń i dla mnie coś mogą znaczyć. Muszę od razu zauważyć, że doznałem uczucia zawodu. A szkoda. Ta właśnie książka nie zawiera niezbędnej dozy podmiotowości istotnej dla procesu czytelniczej konfrontacji. Jest wywiadem-rzeką i jakby nie spełnia tego typu formy kryteriów. Chciałbym z jej bohaterem stanąć twarzą w twarz, a nie jest mi to niestety dane, albowiem został on w sposób dalece idący odpersonalizowany. Co prawda wiemy, że to ktoś po czterdziestce, niedawno zrobił maturę, jest kierowcą, ale już nie wiadomo zupełnie jakiego typu pojazdu, co też jest nie bez znaczenia. Pobrzmiewa mi w tym całym zabiegu ton fikcyjności i kamuflażu, który z niewiadomych powodów jest realizowany. Nie dowiemy się więc o żadnych osobistych sprawach. Czy można temu zaufać? Czy może jawić się wiarygodnie ktoś, kto pod maską anonimowości, bo nawet imię zostało zmienione, wypowiada się wiele, to prawda, na wszelakie tematy. Ale tylko i wyłącznie przedmiotowo. Podziwiam nawet ambicję Turowskiego, jego skrzętność, by nie uronić nic z autentyzmu tej „bardzo długiej rozmowy”, której zaoszczędzono „fachową obróbkę językową”, z czym mogę się nawet zgodzić, gdyż kanon rozmówcy można uznać za priorytetowy, ale cóż mi po takim autentyzmie przekazu, jeśli stoją za nim tylko słowa, słowa, słowa. Nie ma zaś metki, odcisku ręki, potu, strachu, radości ani podpisu. Poza tym mamy do czynienia z rodzajem sprzeczności, konfliktu pomiędzy dyskursem języka mówionego a poetyką felietonu. Dla mnie oczywiste jest, że tak się autentycznie, żywo, raczej nie mówi. Zresztą mniejsza o to. I owszem, jesteśmy w stanie zweryfikować światopogląd owego Marka, jego racjonalistyczne i racjonalne podejście do wielu spraw współczesności. Można uznać, że na każdy temat ma wyrobiony pogląd, a tych tematów i zagadnień, które porusza są dziesiątki (rodzina, małżeństwo, miłość, śmierć, Kościół, wojsko, eutanazja, regionalizm, kultura, sport, media, alkoholizm, prostytucja, narkomania, zdrowie, kosmetyki, depresja, mobbing, listy, książki, żebractwo...), ale to może nie wystarczyć. W pewnym momencie jawią się te wypowiedzi jako rodzaj omnipotentnego mędrkowania, a temu jak wiadomo nie do końca towarzyszy powaga. No bo jakże można znać się na wszystkim? Czy w tym rzecz, by dość szablonowo, poszczególnie zagadnienia rozpatrując przez uwarunkowania ekonomiczne, demonstrować swoją wszechogarniającą kompetencję, czy raczej winno chodzić o wybór kwestii dla siebie ważnych. Mówiąc w ten sposób, np. o uczuciach serwuje autor zwyczajne głupstwa lub wulgaryzuje (miłość, małżeństwo). Jeśli sięgam do określonego wywiadu-rzeki, to nie dla liczmanu sądów, ale raczej dla określonej wizji intelektualnej, a w tym i biografii, poznania losu i warunków towarzyszących realizacji wszystkich dokonań, które ma na swoim koncie bohater. I tylko taka wartość może mnie obchodzić, nie poszczególne, wygadane jednostkowe treści, z którymi raz (owszem) zgadzałem się a innym razem nie zgadzałem. W książce „Bez retuszu” zaprzepaszczono szansę pokazania człowieka. A więc, mimo niebagatelnego wkładu pracy, trudno ją uznać za istotną. Nie tworzy legendy tego przepytwanego człowieka. Być może dlatego, że - jak czytam - sam bohater do autoprezentacji nie był przekonany. W gruncie rzeczy nie dostrzegł szansy pokazania własnego ja, zdecydował się więc pokazać to, co ogólnie skądinąd jest wiadome. Czy o to jednak chodziło?

Czesław Sobkowiak

Czytajmy poezję!

Andrzej K. Waśkiewicz przekonuje, że warto

Andrzej K. Waśkiewicz, *Historia. Poezja. Los*, Kielce 2005, 292 s.

W roku 1962 w wierszu pod tytułem *Wieczór autorski* Wisława Szymborska dowcipnie i przewrotnie skarżyła się na dolę bycia poetą, czyli kimś niedzisiejszym, kto liczyć może co najwyżej na wątyły i anemiczny aplauz grupki wielbicieli złożonych w większości z członków najbliższej rodziny, kilku egzaltowanych starszych pań i paru nieszczęśliwie zakochanych niezbyt atrakcyjnych nastolatki, a czasem tylko przypadkowych przechodniów:

Muzo, nie być bokserem to
jest nie być wcale,
Ryczącej publiczności
poskąpiłaś nam.
Dwanaście osób jest na sali,
już czas, żebyśmy zaczęli.
Połowa przyszła, bo deszcz,
pada,
reszta to krewni. Muzo.

Dziś diagnoza noblistki wydaje się równie, a może jeszcze bardziej, aktualna niż przed czterdziestoma trzema laty, a kwestia czytania poezji przez społeczeństwo, które ma ambicję zostania społeczeństwem konsumpcyjnym (co w naszych realiach dość kiepsko wychodzi) jest kwestią niemalże wstydliwą. Odpowiedź na pytanie „Kto czyta poezję?” znów brzmi więc tak samo, a szkoda, bo, jak przekonuje Andrzej K. Waśkiewicz (*nomen omen* poeta, krytyk literacki i wydawca w jednej osobie) w swojej nowej książce, czytać poezję nie tylko trzeba (i to wcale nie ze szkolnego obowiązku), ale naprawdę warto. O tym, w jaki sposób zachęca do niej czytelnika – za chwilę.

Najpierw słów kilka o samym zbiorze szkiców, składających się na książkę Waśkiewicza, a które Autor publikował już wcześniej osobno, teraz zaś – znalazłszy dla nich wspólną formułę i łączącą je myśl przewodnią – zamieścił w jednym tomie. Z jego okładki spoglądają na nas z fotografii twarze doskonale (w odróżnieniu od poezji niestety) znane: przystojna i na zawsze już młoda twarz Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, skupiona jakby w oczekiwaniu katastrofy – Józefa Czechowicza, pewna siebie, wysoko uniesiona – Juliana Przybosa, chmurna – Cypriana Kamila Norwida, zdecydowana – Władysława Broniewskiego i wreszcie, obronnym gestem zasłaniająca się ręką trzymającą papierosa – zamyślona twarz Mirona Białoszewskiego.

Co łączy poetów tak różnych generacji, czasów i głoszonych programów poetyckich – od XIX-wiecznego jeszcze Norwidowego olśnienia słowem i romantycznie tragicznego zapisu przeżyć pokolenia Kolumbów u Baczyńskiego poczynając, poprzez nowatorskie propozycje pierwszej (Przyboś) i drugiej (Czechowicz) awangardy międzywojennej, aż do rewolucyjnie żarliwej poezji Broniewskiego i rewelacyjnych, bijących na głowę wszystkie dotychczasowe eksperymenty awangard, pomysłów Białoszewskiego?

Andrzej K. Waśkiewicz odpowiada na to pytanie bardzo szeroko i wyczerpująco w *Przedmowie*, wskazując na cały szereg zależności i powiązań pozwalających połączyć analizę problematyki twórczości tak różnej w sferze poetyki, światopoglądu jej autorów, sposobu widzenia przez nich świata i odbioru rzeczywistości. Oddajmy mu zatem głos:

Przygotowując do powtórnego wydania sześć szkiców publikowanych niegdyś osobno (w seriach *Przewodnik po lekturach* warszawskiego Domu Wydawniczego „Jota” i „Analizy Literackie” gdańskiego Wydawnictwa M. Rożak), zauważyłem, że składają się one w pewną całość. Nie tylko dlatego, że opisują twórczość poetów, zajmujących kluczowe miejsca w dziejach nowoczesnej poezji polskiej. Także dlatego, że – niejako nadprogramowo – rozważają pewne problemy teoretycznoliterackie i z zakresu socjologii literatury, które determinowały rozwój literatury

dwudziestowiecznej. Od miejsca, jakie pisarz zajmuje w społeczeństwie rynkowym, rządzącym się regułami gospodarki towarowo-pieniężnej, wynikających stąd ról i społecznych nastawień, poprzez relacje literatura – wielkie ideologicznie określone ruchy społeczne, wzajemne związki literatury i ideologii, pisarza i partii, z której programem się utożsamia, po problemy dynamiki zmian pokoleniowych i wewnętrznej mechaniki ruchów pokoleniowych, problematykę grup literackich, poetyk zbiorowych, a także rodzenia się i wygasania nurtów poetyckich. W tle jest jeszcze problematyka instytucji literackich: czasopism, grup i zrzeszeń pisarskich i ich „instytucji zależnych”, a także ich relacji z dominującymi w epoce instytucjami społecznymi.

Dla mnie wspólnym mianownikiem łączącym wszystkie szkice jest chyba przede wszystkim temat w polskiej literaturze – stale – a przynajmniej od czasów romantyzmu – obecny, a przy tym sporny i trudny. Temat ten, zwięźle sformułowany przez Waśkiewicza w tytule książki, a mianowicie polska historia i polski los, na które nasza literatura nigdy nie pozostawała obojętna. Ba, te kwestie wielokrotnie – zwłaszcza w perspektywie odbioru społecznego – przybierały charakter imperatywu moralnego i obywatelskiego. Dla samej literatury zaś stawały się sporem o jej funkcje i znaczenie, o rolę i powinności twórcy.

Konflikt ten z kolei sprawił, że literatura polska popłynęła dwoma zasadniczymi, rozbiegającymi się nurtami, z których pierwszy deklaruje wierność dawnym patriotyczno-ideologicznym mitom i klasycznym zasadom formalnym (dryfując czasem niebezpiecznie blisko w stronę doktrynerstwa i propagandy), drugi zaś skupiał niepokornych (jak choćby Gombrowicz) sceptyków, nieufnych wobec wszelkich prawd zastanych i stwierdzeń zbyt łatwych i oczywistych. To ci ostatni szczególnie stali się motorem napędowym literatury i to o nich pisał Tadeusz Drewnowski w swojej interesującej syntezie dziejów powojennego pięćdziesięciolecia polskiej literatury, że wpisywali się w nurt, który podjął „trudne wewnętrznie powikłane dziedzictwo. Jednostronności dominującej tradycji tyrtejskiej, patriotyzmowi wyidealizowanemu i anachronicznemu pragnął przeciwstawić patriotyzm dojrzały, krytyczny, wyciągający wnioski z doświadczeń historii”.

Jak trafny był to osąd (notabene sformułowany głównie w odniesieniu do pisarstwa pokolenia 1956) pokazuje dziś kierunek rozwoju literatury polskiej w dwóch ostatnich dziesięcioleciach, znaczony polemiką kolejnego, bo debiutującego na początku lat dziewięćdziesiątych w diametralnie zmienionej rzeczywistości społeczno-politycznej, pokolenia zwolenników tradycji i przeszłości z rówieśnikami, i którzy chcą „ruszyć z posad bryłę świata”, wychodząc poza ciasny zaścianek polskich uprzedzeń i idiosynkrazji.

Niezależnie jednak od czasów i okoliczności, podziały te wcale nie muszą być jednoznaczne i rozstrzygające (co często prowadzi do uproszczeń) i uwaga ta dotyczy, jak można się domyślać, tych poetów, którzy nie dają się łatwo zasufladkować, umieścić w jednej przegródce klasyfikacyjnej. Do takich zaś niewątpliwie należą analizowane przez Waśkiewicza twórcze indywidualności. Udaje się Autorowi książki wydobyć te aspekty ich twórczości, które świadczą nie tylko o niezależności wypowiedzianych sądów, przenikliwości ocen i dalekowzroczności, ale także wskazują na niezwykle cenny (również dla literatury) dar czy umiejętność uzyskiwania dystansu wobec tych wszystkich momentów polskiej historii, które w sposób żywy wpływają na stan i kondycję społeczeństwa i narodu.

I tak, podążając szlakiem wytyczonym przez Waśkiewicza w *Historii. Poezji. Losie* odkrywamy na przykład ze zdumieniem, jak mocno niektóre koncepcje Norwida są komentarzem do dziejów Polski o sto pięćdziesiąt lat późniejszej i pozornie tylko bogatszej o pewne doświadczenia, bo wciąż chyba nie potrafiącej wyciągać ze swej bolesnej przeszłości właściwych wniosków:

Czyn – pisze Waśkiewicz o poezji C. K. Norwida – czyli bezrefleksyjny poryw, przeciwstawiony jest czynowi wynikającemu ze zrozumienia i przemyślenia praw historii. W liście do J. B. Zaleskiego z 7 II 1852 r. pisał :

U nas p o s w i ę c e n i e to jest dopiero ażeby umieć s t r a c i ć w s z y s t k o d l a s p r a w y – zacna precepta i konieczna, powtarzam, Starego Zakonu precepta, ale u nas jeszcze nie pojmuję się p o s w i ę c e n i e jako zależące na tym, ażeby wszystko z y s k a ć d l a s p r a w y. I dlatego jest popiół.

Popiół, czyli klęska. Czyli – nieskuteczność ofiary.

Zakwestionowana zostaje więc, po pierwsze, norma żołnierza-straceńca jako jedyny wzór patriotyzmu. Śmierci dla sprawy przeciwstawione zostanie życie dla sprawy. Po drugie – nie tylko

z powodów utylitarnych (skuteczność działania), ale przede wszystkim moralnych zakwestionowana zostanie polityka zemsty. To jeden z głównych motywów „monodii” *Zwolon*.

W dziejową panoramę i ich ocenę kreśloną w polskiej poezji wplatają się dzieje i losy indywidualne, równie jak wielka historia, a może za jej sprawą, dramatyczne i skomplikowane: tragedie życiowe (Broniewski to jedna z najtragiczniejszych postaci w historii współczesnej poezji polskiej), poczucie wyobcowania (Białoszewski) i brak zrozumienia u siebie współczesnych, wreszcie niepotrzebne i przedwczesne śmierci, jak ta która spotyka Czechowicza w bombardowanym Lublinie. No i oczywiście wielka poezja, która broni się sama, niezmiennie zachwyca swym pięknem i skłania – jak dowodzi A. K. Waśkiewicz – do jak najbardziej współczesnej i aktualnej refleksji o świecie i człowieku.

Formuła książki, „zalecaniej do użytku w szkołach średnich i akademickich”, ułatwia poruszanie się po nieznanym dla wielu, a fascynujących i na pewno godnych odkrycia obszarach polskiej literatury, „Jest bowiem tak – zachęca Waśkiewicz – że utwór, który nas poruszył w pierwszym czytaniu, potem, gdy wiemy więcej i o samym tekście, i o autorze, i gdy nadto znamy literaturoznawcze instrumentarium – w kolejnych lekturach odsłania sensy, jakich się nie domyślaliśmy. Ta zaś wiedza przenosi się także na inne doświadczenia, nie mieszczące się już w kanonie lektur obowiązujących, uzupełniających, podsuniętych przez polonistę”.

A zatem – czytamy poezję, a jeśli trochę się jej boimy – przytaczając argument o niezrozumiałości czy oderwaniu od życia – poszukajmy przewodnika. Jest w zasięgu ręki – w postaci książki A. K. Waśkiewicza, który znakomicie odnajduje się w roli cicerone.

Anna Szóstak

Moja niezupełna zgoda – uwagi do eseju Urszuli Małgorzaty Benki pt. „Psychomitopolityka”

Smutny tekst i zostawiający mało nadziei. Czyta się go z bolesnym namysłem, bo czytać obojętnie nie sposób. Po przeczytaniu nurtuje nadal. Oczekuje niemałej wiedzy od potencjalnego dyskutanta i wymaga skupienia, by nie zbłądzić w labiryntach myśli Autorki, by w ślad za nią przeskakiwać rowy czasu i miejsca. Drażni nowe, mroczne korytarze w myślach czytelnika. Lecz – jeśli dotąd nie były one świetliste, to czy znajdą kłębek, który wyprowadzi na światło? Czytając – czułam przepływające falami odczucia sprzeczne, chwilami burzliwe, czasem rzucające o skały...

Czy jednak droga Autorki jest jedyną? O każdej rzeczy można rozprawiać, każdemu dowodowi przedłożyć inny. Daleka jestem od sofistycznych praktyk, lecz sądzę, że w materii tak niedookreślonej, jaką jest psychika i jej odwzorowanie w mitach, tropienie tegoż w codzienności i historii, zawsze będzie interpretacją. Tyleż dzieła, co świata. Inaczej sztuka, dowód jakości człowieczego istnienia, nie znacząłyby nic lub niewiele. Nawet historia nie jest jednoznaczna. Dlatego przyjmuję esej Urszuli Benki jako powód myślenia (bolesnego, mile mity podważającego) i dyskusji, ale w niektórych konstatacjach, pewnikach i wnioskach – wołam: nie! Nie mówię, że Autorka nie ma racji. Ma! Tyle, że z niektórymi racjami nie zgadzam się. Nie chcę, nie przyjmuję ich. Nie są z mego ducha. Powiada „Bhagawad-Gita”: „*Z wiary jest człowiek utkany. W co wierzy, tym jest*”, choć – jak twierdzi Henryk Elzenberg – czasem ważniejsze jest to, w co chce wierzyć...

Esaj opiera się na podwójnym widzeniu człowieka. W mitach, mimo że są one pewnym uniwersum - widzimy jednostkę. Pragnienia, zmagania, winy i odkupienia pojedynczego człowieka. Cokolwiek w człowieku tkwi, jeśli „pozna samego siebie”, może zrozumieć swoje przeznaczenie lub pogodzić się z nieuchronnością, a tym samym nie przegrać. Tak też mity i baśnie są tu wykładane. Gdy mowa o człowieku rzeczywistym - roztapia się on w masie, procesach, nie wie o sobie nic. I chyba za nic nie odpowiada, bo niemal nie istnieje jednostkowo, staje się „już prawie nic” znaczącą cząstką społeczeństwa. W tej dwoistości tkwi istota, ją diagnozuje Autorka, ale nie dociera do sedna. Nie wyciąga konsekwencji z faktu, iż na huśtawce dziejów ustawia te dwa pojęcia: człowiek i zbiorowość. Ma rację w ocenie społeczeństwa. Jest ono wypadkową przeciętności,

można je opisać statystycznie. Działają mechanizmy rozgrzeszające: „nie ja” – to ludzie, świat, czasy. Ucieczka od ja? Tego ja, o którym Fromm mówi, że „jest na tyle silne, na ile jest aktywne”, i dodaje: „pod słowem aktywność nie rozumiemy robienia czegoś, lecz szczególną właściwość twórczego działania”. Należć do grupy, zbiorowości, czy tłumu, to w pewien sposób rezygnować z siebie

Ma rację Autorka, kiedy mówi, że „bez naszego przyzwolenia” nie zapanowałby komunizm, ale nie ma, mówiąc, że o ile na nazizm odpowiedzieliśmy niejako pospolitym ruszeniem, odrzucając go z całą mocą, to tę „ideologię” przyjęliśmy raczej bez oporu, podczas gdy, być może, powinno być odwrotnie. Nie jest to aż tak proste. Oczywiście, że komunizm „budował” na tym, co w ludziach najsłabsze, także na podświadomej chęci uwolnienia się od odpowiedzialności. Za zło można winić system, winę rozłożyć aż do zagubienia świadomości zła. Są jednak zasadnicze różnice, tu pominięte, a przenikliwie podkreślone przez Besançoną (bez różnicowania zła!). Nazizm dookreślał wrogów, zapowiadał niszczenie, głosił wojnę, by budować nowy świat jedynie dla swoich, był więc dążeniem negatywnym. Komunizm, stokroć bardziej zafalszowany, głosił ideologię „pozytywną” i zapowiadał „zbawienie powszechne”, odwołując się do haseł pokojowych. Nazizm to obłęd, z którego Niemcy mogli się ocknąć, ale komunistyczna „reedukacja” kłamstwem w totalnie absurdujacej rzeczywistości spowodowała ciężkie zatrucie. Autor „Przekleństwa wieku” cytuje opinię redaktora „L' Humanité”, obrazującą błąd tzw. zaccadzenia: „Po Auschwitz nie można być nazistą, ale po obozach sowieckich – można pozostać komunistą”. Tę aberrację skomentował słowami: „zaślepienie nie zawiesza oceny moralnej”. Esej pomija te różnice, nader istotne dla zrozumienia reakcji jednostek i zbiorowości. Można potępiać tłum, trudno jednak od niego wymagać. Społeczeństwo, „my” – to rodzaj abstraktu. Człowiek – ja, ty, to konkret. Od „ja” należy wymagać. Co najmniej dążeń do zachowania „ja”, bo „umieć należeć do siebie jest rzeczą największą w świecie”, jak powiedział Montaigne. Tak wymaga Zbigniew Herbert, ale i pomaga odnaleźć wartości ważne dla człowieka osobnego. Autorka natomiast, z pewną ironią wykazuje, że balansuje on między dwoma biegunami, nie docierając do żadnego. Nie tak czytam Herberta! W jego pewnością i wątpliwościach znajdują jednoznaczny sens jego poezji. Najważniejsze nie to, co się osiągnie, a dążenie. Zamiar musi być prawy, bo on określa człowieka. Zachowanie godności niezależnie od warunków, Herbert umieścić na szczycie hierarchii wartości, które będąc ażylem, były równocześnie wzywaniem i wezwaniem. To Autorka pomija.

W eseju góruje „ja” w liczbie mnogiej, ale „my” – roztopia się w zbiorowości. Boję się takiego kierunku analizy. Bliski jest nie tyle Hegłowi, co jego nieprawym „synów”. Boję się, bo psychologia chcąc zastąpić filozofię, opisuje człowieka przez prawa powszechne i mechanizmy, działające w sposób sterowny. A przecież nawet fizyka zna drobiny wymykające się prawom. Coraz trudniej trafić myśl skierowaną na indywidualium, którego istotę ujął Schopenhauer, jako punkt przecięcia się podmiotu poznania i podmiotu chcenia. Jeśli już, jest to „człowiek jako taki”, statystyczny model. Górą więc psychologia społeczna i jej swoista „emanacja” – socjotechnika, współczesny „rząd dusz”. Obróbka, jakiej podlegają zbiorowości oraz ów „człowiek z tłumu”, to niwelowanie świadomości indywidualnej na rzecz odruchów. Służy jej kultura masowa przyjmowana niczym zbawcza manna, a aplikowana jako „opium dla mas”. Otóż „Psychomitopolityka” ociera się, niestety, o taki ogląd ludzkiego świata. Prawda, że masy idą na boje i do obozów, wznoszą budowle i rewolucje, ale to jednostki decydują, tworzą i zabijają. Przede wszystkim myślą i przeżywają. Jeśli zatrzymamy się na opisie stanu rzeczy i zadowolimy definicjami zamiast je podważać – nie ruszymy z miejsca, a jeśli – to droga poprowadzi w dół. Dokąd jedną z definicji pętających myślenie będzie, że „takie są czasy” i one tworzą człowieka, będzie takim, jakim opisała go Autorka. Istotą nędzną i nie wiem, czy godną zainteresowania bogów. Nie ma „czasów” – są ludzie. Przytaczane baśnie o naiwnych, uznanych za głupich, młodszych braciach mówią, że to oni zdobywają szklane góry, przynoszą matce wodę życia. Skarb – często wraca to mistyczne wręcz pojęcie – ich jest udziałem, a przegrany są właśnie ulegający potoczemu, właściwemu ogółowi myśleniu, kierujący się nie dążeniem, lecz zdobyciem. Sięgając w antyczną interpretację mitów (Orficy, Platon, Owidiusz) widzimy, iż tylko ci, którzy wiedzą, że świat jest odbiciem – świat ten są w stanie dźwigać? Odbiciem ideału w duszy, boskiej w nas iskrze. Fobie, kompleksy, szaleństwo nie wystarczą, by „opowiedzieć” człowieka, co dopiero – zrozumieć go i zinterpretować. A one dominują w eseju, choć przynajmniej ciekawe to interpretacje.

Wątpliwości budzi widzenie sztuki. Autorka skupia uwagę na Pegazie, który wszak nie jest istotą wężową, a symbolem natchnienia stał się w czasach nowożytnych. Nie jest źródłem sztuki, jak może sugerować imię lub to, że spod jego kopyt tryskały źródła. Jest raczej ograniczeniem, bo muszą być granice ciekawości i człowieczych zapędów. Pegaz stracił zuchwałego jeźdźcę i stuknięciem kopyta przywołał do porządku rozbrykane Muzy. Ich siedzibę sprowadził do właściwych rozmiarów, nie zagrażających niebu. Autorka pomija pochodzenie Muz, poczętych przez Zeusa z Mnemosyne - Pamięcią, córką Nieba i Ziemi, „kuzynką” Prometeusza, a właśnie ten mit sięga w istotę twórczej myśli. Dlaczego nadaje takie znaczenie Pegazowi i jego ohydnej matce? Sądzę, że uwaga skierowana tylko na mroki duszy spycha nas (Ją?) na manowce. Owszem, ma uwodzicielski urok pomysł, by źródłem sztuki (ciemnym i trującym) uczynić Meduzę, ale urok to niebezpieczny. Poznanie w sobie zła. Dlaczego tylko zło? Co może począć? Zbrodnie i zniszczenie! Połączenie skrzydeł z mocnymi kopytami - to hybris. Rumaka dosiada Bellorofont, rodzaj najemnika. Wnuk bluźniercy i zbrodniarza, dziki wojownik, używający Pegaza do wybijania wrogów. Nie w natchnieniu ku Olimpowi szybuje. Wznosi go pycha niepokonanego specjalisty od rzezi. Gdzież tu zdolności, sztuka, myśl? Chyba, że... obaj, jeździec i koń mieliby być protoplastami obłąkańczych ideologii, opartych na śmierci, lekceważeniu życia - oczywiście cudzego. One też niosą zdobywców świata, by strącić ich w chwili, kiedy uwierzą we własną potęgę, bogom równą. Ale - takiego wniosku Autorka nie wysnuwa...

Rzecz w tym, że esej dotyczy psyche poddających się, więc pokonanych, tworzących swoje potwory. Paradoksalne ujęcie: w ofiarach totalitaryzmu ludziach, społeczeństwach, narodach - zobaczyć współtwórców totalitaryzmu. Czy dlatego, że bez ofiary - nie ma kata? Zbyt proste, choć myśl ta owija się wokół masztu, jakim jest dla eseju totalitaryzm. To odwrócenie ról odczytywane poprzez mity i baśnie jest efektywne, ale wynika z niego tyle, że „statystycznie” i w masie jesteśmy bezwolnymi ofiarami. Kategorie wielkich liczb, w których rozmywa się jednostka. Dlaczego mamy w mitach takich tylko skłonności szukać, traktując słabości jako istotę człowieka? Czy to już cała prawda, której sam nie chce o sobie wiedzieć, nie chce zejść w labirynt, ani do Skarbcza? Gdyby tak miało być, obozy (koncentracyjne, „socjalistycznej demokracji”) nadal dzieliłyby świat zasięgami. Nie ma zgody na takie myślenie. Wolę wierzyć J. Cambellowi, do którego Autorka również się odwołuje. Nazwał on mity „kluczami do duchowych możliwości człowieka”. Wolę wierzyć słowom Arystotelesa, że „człowiek przyczyną i sprawcą swoich czynów”, bo „ilekroć czyn jakiś od nas zależy, zależy też od nas jego poniesienie i na odwrót - ilekroć zależy od nas zaniechanie jakiegoś czynu, zależy też od nas jego dokonanie”. Od czeluści zabitej gorgony - wolę Apolla, czczonego przez Ateńczyków jako obrońca przed złem, w obu jego funkcjach - leczniczej i wróżebnej.

Nie godzę się z wywodem historycznym i etycznym o totalitaryzmie w człowieku, mimo iż brzmi frapująco, a pozornie odpowiada na pytania wieku. Totalnie zorganizowane państwo i życie obywateli datuje Autorka od zaprowadzenia chrześcijaństwa. Czym więc była Sparta, odcięta od reszty świata, by wolna myśl nie stała się rozsądnikiem, z super-policją, krypteą sięjącą terror? A jej wychowanie dzieci w komunach, owa „równość” (nawet nazywali się „jednakowii”), pogarda dla piękna i luksusu? Podobnie nie jest prawdą, że obozy koncentracyjne wymyślili Anglicy w wojnie burskiej. Lord Kitchener był najwyżej pilnym czytelnikiem Tukidydesa, który opisuje taki obóz założony dla Ateńczyków w syrakuzzańskich kamieniołomach (koniec księgi VII). Esej daje jedną z interpretacji historii i psychologii, w której z faktów i słusznych obserwacji, wyciągane są bardzo dalekie i swobodne czasem wnioski.

Autorka wiele uwagi poświęca naszej trudnej historii, mając za autorytet Józefa Mackiewicza. Nie należę do wielbicieli Sikorskiego, choć nie z powodu jego polityki wschodniej. Jego decyzje były pewnie koniecznością. Żadne źródło nie wskazuje, by Stalin inaczej wypuścił z łap uwięzionych i deportowanych, a ich życia nie wolno było poniechać. Nawet za cenę milczenia. Jest ahistorycznym osąd z dzisiejszego pułapu wiedzy, że przyjmowane w „ów czas”, w oparciu o ówczesne przesłanki rozwiązania były złe, czy haniebnie błędne. Polityka, jako wypadkowa konieczności i możliwości, może przynosić skutki odmienne od zakładanych, czego dobitnym przykładem są zabiegi wokół zachowania pokoju, podsumowane w parlamencie brytyjskim przez Chamberleina w 38 r.: „Rząd musiał wybierać między hańbą a wojną; wybrał hańbę i będzie miał wojnę”. Słowa Jana Masaryka wypowiedziane do lorda Halifax mają podobny sens: „Jeśli poświęcacie mój naród, aby zachować pokój, będę pierwszym, który wyrazi wam wdzięczność. Jeżeli nie, niech Bóg ma

w opiece wasze dusze." Politycy w najlepszej wierze mogą błędnie ocenić sytuację, tym bardziej mylić się co do rozwoju wydarzeń. Generał Sosnkowski był przekonany, że podział stref okupacyjnych po wojnie, jest nieuchronny, co oznacza obecność wojsk sowieckich w Polsce. Jego pesymizm był realizmem. Czy jednak nieugięta wiara całego dowództwa w niepodległość cokolwiek zmieniłaby w decyzjach wielkich tego świata? Czy mieliśmy siły nacisku, bo przecież argumenty racji - argumentami nie są? Mity a rzeczywistość? Po cóż czytać historię przez edypalne kompleksy? Jeśli mit – to o Mariaszu. Choćbyśmy „wołać walki” świat zadziwili, śpiew o wolności i honorze pod niebiosami wzniesli, może kamienie by płakały, lecz to „bogowie” mieli moc „obedrzeć nas ze skóry”. A Pegaz? Widząc mit przez współczesność, powiedziałabym tak: oto nasze pienia (spory na emigracji, różne w kraju postawy), były jak zawody Muz i Pieryd, a Polska jak Helikon. Olimp poczuł się zagrożony, więc wysłał wiatronogiego konia z prymitywnym jeźdźcem. Skutek? Porażka dumnych, ale... Muzy są córami Pamięci. Spod miażdżących kopyta Pegaza trysnęło jej ŹRÓDŁO

Nie zaparto się Katyńskich Ofiar. Autorka obciąża wszystkich wówczas żyjących Polaków. Stawiając zarzut, nie mówi jak Rząd miał się konsultować z narodem, jak miały docierać informacje, jak naród miał się wypowiadać. Nie zastanawia się nad przyczynami, dla których Niemcy wiedząc o wykonawcach zbrodni, nie głosili tych porażających wieści. Przecież nie obawiali się, iż Polacy taką miłością palają do bolszewii, że nie uwierzą?... Świat intelektualny Zachodu, u progu lat 50-tych za skandal uznał wypowiedzi o łagrach, mimo, że nie od Polaków one pochodziły. Słynny jest „dowód” Sartre'a, że skoro obozy są sprzeczne z podstawami socjalizmu, tym samym – istnieć one nie mogą. Ba! Alain Besançon w swym studium zauważył: „Narodowy socjalizm uwiódł kilka wielkich umysłów: Heideggera, Carla Schmitta. Rzecz jednak w tym, że przypisywali oni narodowemu socjalizmowi swoje własne myśli, jemu obce. (...) Marksizm-leninizm przyciąga tylko umysły drugorzędne, jak Lukács na przykład – a zawsze ze stratą dla ich uzdolnień.”

Temat zniewolenia to kolejna niezgoda, jaką „Psychomitopolityka” wywołuje. Należę do pokolenia, które nie zanotowało w pamięci lat najgorszych, ale ma je wpisane w każdą cząstkę myśli. Do tej części, która żyła w zniewolonym kraju, ale – zniewoleniu nie uległa, wbrew osądowi Autorki, że wszyscy zostali skażeni. Definiuje wszystkich jako produkt systemu, mającego w nas pożywkę, bo byliśmy słabi i ulegli, a tylko oszukiwaliśmy samych siebie, że jesteśmy „ponad to”. Więc nie mylą się totaliści twierdząc, że z człowiekiem, a nawet masą można uczynić wszystko?! Góra Marks, Makarenko, Żdanow i Goebbels - twórcy „nowocześniejszych mitów”! To nie tak! Można było zachować wolność myśli i godność wbrew wszystkiemu. Być zdeptanym – to nic, byle samemu nie deptać, nie dać w sobie zgody na zło. Wolność wartościowania i wolność od zła czynionego przeze mnie. Nauczył Sokrates, że jest to możliwe w każdych warunkach, które rzadko lub wcale nie zależą od nas, ale od nas zależy jak się w nich zachowamy. Ten heroizm Rüdiger Safranski (w studium „Zło” z podtytułem „Dramat wolności”) ujął w myśl, iż człowiek musi kierować samym sobą, ale to „samym sobą nie jest mu dane, lecz zadane”. Warto tu przywołać słowa H. Elzenberga: „W dziedzinie faktów ulegam przemocy rzeczywistości; m u s z ę je uznać za fakty i m u s z ę, w postępowaniu swym, z nimi się liczyć. Tu sędzę rzeczywistość, i w tym sądzień jakoś się od niej wyzwalam: żadna siła nie może mnie zmusić, bym za piękne uznał to, co uważam za brzydkie, albo na odwrót. Ślepa i bezduszna siła natury albo zbrodnia ludzka, mogą mnie zabić (...). Ale nic mnie nie zmusi do pomyślenia, że zbrodnia nie jest zbrodnią, albo że panowanie ślepych i bezdusznych sił jest czymś lepszym niż panowanie woli rozumnej. Tu ja się przeciwstawiam rzeczywistości, a ona jest wobec mnie bezsilna.” To tylko „kłopot z istnieniem”, ale nie tak było, jak widzi Autorka. Ironicznie zaś sedno ujął tak: „Mądrość polityczna polega często na mówieniu głupstw tam gdzie trzeba. Ależ na miłość boską, obywatelu, nigdy przecież na ich myśleniu!” Nie tylko słowa i myśli, także śmierć była według zasad i słów Epikteta: „To co Sokrates powiedział i czynił umierając dla sprawiedliwości, pożyteczniejsze jest, aniżeli wszystko, co byłby mówił i czynił, żyjąc dłużej.” Mity? Tak, choć nie edypalne, o których tak wiele w eseju. Wbrew „bogom” wszechmocnym - można być wolnym, zachowując wewnętrzne „NIE”. Napisał Herbert do Mistrza Henryka: „przecież człowieka bardziej określają słowa zaczynające się na nie : niepokój, niepewność, niezgoda”...

Autorka nie ma najlepszego zdania o czcicielach Herberta. Trudno, obstarę przy twierdzeniu najważniejszym, które ona odrzuca: „w gruncie rzeczy była to sprawa smaku”. Niejeden w kon-takcie z jego poezją zrozumiał, że nie musi się godzić i odkrył ze zdumieniem, że „to wcale nie

wymagało wielkiego charakteru”. Przywoływane są „Dziady”. Słusznie. Kajdany może tyran założyć na ręce, może wiele czynić, by „założyć je na duszę”, ale tego sam nie potrafi uczynić. Lateranus miał za nic kajdany Nerona, bo wolnej woli nawet Jowisz nie mógł mu odebrać. Skarb więc widzę inaczej niż Autorka. Poznanie zła i ograniczeń – to mało, to raptem droga. Skarbem jest Dusza. Apolloniusz z Tyany wyrzekł ponoć do Domicjusza słowa o heroicznej istocie człowieka: „Bóg, który uczynił cię straszliwym, mnie uczynił nieustraszonym”. Zachować Duszę – oto Skarb. Cóż, że spojrzymy w mrok i potworność swego wnętrza? Jeśli nie zobaczymy tam nic więcej - poddamy się! Tak damy zgodę wszelkiej tyranii. Czerwonej, brunatnej, czy kolorowej, jak wszechobecna kultura masowa.

A sztuka? To nie przystosowanie, lecz wyzwolenie. „Zbroja”, jak śpiewał Jacek Kaczmarski. Mówi Autorka, że „człowiek w labiryncie totalitaryzmu, żywi przeświadczenie, że ocalił wewnętrzną wolność – po prostu nielojalność wobec tyрана sama w sobie nie jest jeszcze wyzwoleniem”. Ależ jest! Ona u podstaw odbiera zwycięstwo tyranii, gdy nie przyjmujemy stanu niewoli jako normalnego. Nie pozwala, by człowiek zadowolił się w świecie więzienia. Elzenberg pisze: „Być artystą i mieć własny świat twórczy znaczy: na morzu wypadków nosić swą przystań ze sobą”. Każdy tworzy, tworzy swoje życie, choćby tylko wewnętrzne. Jak? „Kwestia smaku”, więc wyboru. W opowiadaniu Malewskiej „Sir Tomasz More odmawia”. Siłą odmowy (prócz wiary) jest, iż „zaszedł tak daleko z tymi panami, że bez wielkiego wstydu nie będzie się mógł cofnąć”. Autorka eseju ironizuje o „Herbertowskiej pocieszce”, ale było pociechą wskazanie wyboru! Bez odwagi myśli ludzie błądzą w labiryntach nad bagniskiem, jak Avernus u zejścia w otchłań - miejsce bez ptaków. A Duszy – potrzeba nie tylko skrzydeł, lecz i przestrzeni. Przestrzeń heroicznego piękna otwierał HERBERT.

Jego Mistrz rozważał: „Czy wysilać się na wykorzenienie rzeczy niepożądanych, czy cały wysiłek, uwagę i wyobraźnię skierować na jakąś wartość pozytywną, w nadziei, że wraz z jej rozkwitem tamto samo odpadnie? Często ostatnio myślałem, że p r z e w a ż a ć przynajmniej winna metoda druga. Tego samego zdania jest Ramakriszna: „Gdy z kwitu wyrasta owoc, płatki same odpadają. Tak i wszystkie twoje słabości same odpadną, gdy zaczniesz w sobie wzrastać pierwiastek boski”. Esej, raz może, pyta: „jak w ogóle rozróżnić to, co wolno nam wynieść na światło, a co lepiej pozostawić w spokoju? Co jest Lampą, a co tylko świecidełkiem?”. Mam wrażenie, że nie musimy Hadesowi „pozwolić się ranić”, by być wrażliwym na ból. Nie może być naszą bajką o świecie, w którym zamknięci, poniżeni bólem, wstydzimy się i nie rozumiemy. Nie to ważne, co czyni nas potępionymi, lecz wyzwolonymi. Szukać Lampy? Błąkać się w miazmatach, rzekomej konieczności sięgnięcia dna duszy? Dobrze, ale czy nie ważniejszą odpowiedzieć sobie na pytanie postawione przez Cambella w „Potędze mitu”: Czym właściwie jestem? Żarówką niosącą światło, czy też światłem, dla którego żarówka jest naczyniem? Co do wrażliwości – odpowiedź od dawna znają buddyści: TAT TWAM ASI. Ty jesteś tym! Zrozumieć i umieć tyle... nic więcej, aż tyle.

Wabisz nas i uwalniasz od myśli, milcząca
Formo, jak wieczność! Zimna Eklogo! Gdy w pyle
Szarego czasu zgaśnie to wokół nas życie,
Gdy inne dzieje inny, niż ten, ból zaciemni,
Ty przetrwasz, aby ludziom znów mówić: Widzicie?
„Piękno jest prawdą, prawda pięknem” – tylko tyle
Można wiedzieć i warto wiedzieć, tu na ziemi”

Tym fragmentem wieńczącym „Odę na urnę grecką” J. Keatsa, jak dedykacją dla Urszuli Benki kończę rozważania. Może największą wartością jej eseju jest to, że chce się z nim koniecznie, długo, żarliwie dyskutować. Tekst cały, nad wyraz ciekawy, niezwykle żywym stylem, najtrudniejsze sprawy podaje pięknie. I – jeszcze ten jeden niepokój... Czy nie ten, że gdzieś, na samiuteńkim dnie duszy tkwi cierni obawy, by Autorka nie miała więcej racji, niż chce się Jej przyznać... Bo pewnie są zakamarki, w których poukrywane są sprawy, o których wiedzieć się nie chce, lepiej nie wiedzieć... Są mroki, w które zagłębiać się strach. Czy warto? Autorka twierdzi, że tak, a ja – nie wiem, może po prostu wolę dążenie ku światłu, bo nie jestem pewna, czy po wyjściu z ciemności umiałabym jeszcze w nie patrzeć.

Maria Milek

Psalm o Żarach

Janusz Werstler, *Psalm o mieście*, Żary 2005, 78 s.

Żary mają poetę. Jest nim Janusz Werstler, który nie tylko od półwiecza w tym mieście żyje, pracuje i niezwykle aktywnie działa na obszernym podwórku kultury. W jego wierszach, a Werstler, rocznik 1939, debiutował w zielonogórskim „Nadodrze” w 1961 r., miasto to zajmuje miejsce wyjątkowe, szczególne. Od razu trzeba zastrzec, że w tej poezji Żary nie są miejscem mitycznym, ze snu i wyobraźni, nawet nie symbolem czy metaforą, co znacznie zawężyłby obszar materii poetyckiej Werstlera. Jest to miejsce jak najbardziej konkretne, rzeczywiste, jednoznaczne i przez to – jednowymiarowe, chociaż historyczne i współczesne. Poeta uzupełnia tutaj historyka, często wyręcza kronikarza, dokumentalistę czy wręcz dziennikarza. Nie jest jednak jak oni beznamiętny. Jest poetą, więc w lapidarnym, aż niekiedy do przesady, zapisie wydarzeń i ludzi, części ludzi, zajmuje również stanowisko. Na poniemieckim cmentarzu podmiot liryczny tych wierszy, a czytelnik nie ma wątpliwości, kto nim jest, prosি:

*wieczny odpoczynek
bez naszych grzechów
racz im dać Panie*

Werstler, który w dzieciństwie musiał opuścić rodzinny Kałusz koło Stanisławowa (*Ja z Kałusza – powie w wierszu „Narodziny miasta”*) doskonale rozumie tych, którzy w popłochu porzucali na rozkaz Wodza... *śmiertelnie błądy* Sorau. Ta postawa ludzkiego zrozumienia, ludzkiej solidarności dominuje w wydanym ostatnio siódmym już zbiorze wierszy Werstlera zatytułowanym „Psalm o mieście”. Pomiędzy Sorau a Żarami było cierpienie, ból, rozpacz, strach, niepewność i tych, którzy tutaj przyszli, i tych, którzy stąd odeszli. Była śmierć wielu, jak chociażby Kubarjewa, który w *45 zamieszkał / z nami na zawsze*. To, co wyróżnia wiersze Werstlera o Żarach, to ogląd dziejów i ludzi tego miasta z podwójnej perspektywy. Także z perspektywy tego, któremu, gdy po latach zza Odry przyjeżdża do Żar, *przypiesza puls*, a jego Bahnhof Strasse nazywa się Dworcowa. I nazwę tę jest mu trudno wymówić.

Dzieje i współczesność Żar, według Werstlera, to przede wszystkim dzieje ludzi, bez których wyobraźni, mądrości i ręki to miasto nie mogłoby istnieć. W wierszach sporo nazwisk Polaków, Niemców, żyjących i nieżyjących, których na dłużej lub krócej połączyły Żary. *Adolf Fiedler / sprzedawał / południowe owoce* i gdyby nie ktoś, o takim samym jak on imieniu, sprzedawałby jeszcze bardzo długo. Z pewnością wiodło mu się nieźle. Był szczęśliwy. *Sztyler i Spanielski* odbudowywali żarską już Bawelnę, żarską Wełnę, zaś pan Fuchs uruchomił pierwszą tutaj po wojnie podstawówkę. To tylko pierwsze z brzegu przykłady.

Jeżeli Werstler pisze o ulicy Ogrodowej, to znaczy, że taka ulica jest w Żarach. *Krótką ulicą a historię ma długą*. Przy tej ulicy działał przez wiele lat Klub Inteligencji. Jeśli wtedy w Żarach działo się coś ciekawego, to działo się w Klubie. Tu jako poeta narodził się nie tylko Janusz Werstler, także inni żarscy twórcy. To w tym Klubie Julian Przyboś powiedział, że w twórczości, każdej twórczości liczą się tylko arcydzieła. Werstler to zdanie powtórzył podczas promocji swojego „Psalmu o mieście”.

Najnowszy tomik wierszy Werstlera jest hołdem złożonym nieżyjącym. Należy o nich pamiętać, bo dużo dali Żarom. Często całe swoje życie. Ale poeta nie ma złudzeń. Coraz bardziej kurczy się, wysycha *stryszek naszej pamięci*. Werstler wie, że jeszcze on, jeden z ostatnich z tamtych, może ten kruchy ślad na chwilę ocalić, gdyż *potem / nawet łzawy deszcz / już się o nich / nie upomni*. Odejdą w przepaść niepamięci.

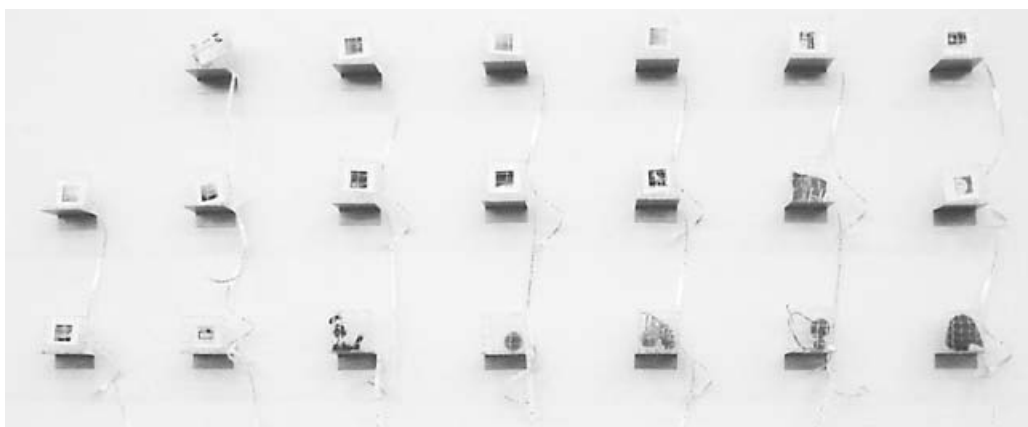
Tomik ten, wbrew psalmicznemu tytułowi, Werstler dedykuje, oczywiście z imienia i nazwiska, również dzisiejszym zasłużonym mieszkańcom Żar, sponsorom życia kulturalnego w mieście, którzy w nowym już wieku kontynuują pasje nierzadko dosłownie swoich rodziców. W tym okrutnym i bezwzględnym przemijaniu wszystkiego i wszystkich ciągłość zostaje jednak zachowana.

“Psalm o mieście” to psalm o trwaniu i przemijaniu, o przemijaniu i trwaniu w skali mikro, chociaż życie każdego człowieka toczy się zawsze i wyłącznie w skali makro. Każdy wiersz w tym zbiorze mógłby być mottem, zaczynem do szerszego zapisu historyka czy dziennikarza. Jeśli tak się

przynajmniej w kilku przypadkach stanie, ostatni tom wierszy Janusza Werstlera spełni jeszcze jeden cel.

Zbiór opatrzył bardzo kompetentnym, interesującym posłowiem Czesław Sobkowiak. „Nawet gdyby miały tu miejsce doświadczenia negatywne – napisał - ... to należy jest jego Miastu wyłącznie pozytywny znak słowa. I Werstler daje swojemu miastu, swoim Żarom ten pozytywny, poetycki znak. Tomik uatrakcyjniają zdjęcia zabytkowych obiektów Żar wykonane przez poetę i Emila Dąbka, który po swoim ojcu Zdzisławie kontynuuje w Żarach działalność wydawniczą. Rzecz wydano przy pomocy finansowej Żarskiego Towarzystwa Kultury i Firmy AVA.

Janusz Koniusz



W poprzednim numerze „Pro Libris” [nr 2 (11/2005)] do wiersza Janusza Werstlera pt. „Rzeczywistość” zakradł się przykry „komputerowy” błąd, zmieniający sens pierwszej zwrotki utworu. Winna ona brzmieć następująco:

już tylko
do wiersza
się tulę
jak do matki

Za zaistniałą sytuację Autora oraz Czytelników przepraszamy.

Redakcja